

Collegium Maius - tour à rebours

Czymżeż byłby Kraków bez naszej Alma Mater, a krakowska wszechnica bez Collegium Maius? To tak, jakby sobie wyobrazić Pizę bez Krzywej Wieży, Stambuł bez Hagii Sophii, Paryż bez wieży Eiffla, Peru bez Machu Picchu, Alpy bez Mont Blanc czy w końcu pizzę hawajską bez ananasa. Na szczęście UJ istnieje i ma się arcyświetnie. Podobnie Kolegium Większe, które już zdążyło okrzepnąć w nieneogotyckim kształcie. Roi się w nim od żądnych ekstrawrażeń turystów z zagranicy: pół-Azjatów, Południowoafrykanek, bużumburczyków, hażan, Nowogwinejek i Bóg wie, kogo jeszcze. Co i rusz można dostrzec szkolne wycieczki, ostatnio bodajże z Unierzyża, Rzerzęczyc i Ożumiecha. Nadto raz po raz zagląda tu jakiś król, książę, chargé d'affaires lub doctor/doktor honoris causa. Do historii przeszła wizyta cesarza Japonii Akihito, którego małżonka, Michiko, grała na fortepianie „Pleyel” mazurki Chopina. Raz zdarzyło się drobne faux pas – ze względu na fochy tubylczej kotki Burki piesek Lulu rasy chihuahua, pupilek cesarza Etiopii Hajle Sellasjego/Syllasjego, musiał przeczekać uroczysty obiad w służbowym rolls-roysie. Nie uwierzycie jednak, co zaszło po fetowaniu jubileuszu 60-lecia uniwersyteckiego muzeum, które dzięki geniuszowi zarządców i megahojności darczyńców chlubi się obfitością zbiorów. Otóż po sesji naukowej i minibankiecie w kawiarni „U Pęcherza” dyżurny kustosz, pracoholik zagrożony karoshi, wszedł do Librarii i zmorzony wytężoną pracą, pólśiedząc na chybotliwym quasi-biedermeierze, przysnął. Nagle jakby się ocknął, rozejrzał w koło i struchlał. Ultrabłękitne sklepienie Librarii zszarzało. Znienacka wypiętrzyły się na nim cumulonimbusy. Co się dzieje?! Na fotelu rektorskim rozpiera się potężny jak wieprz kot à la Behemot z rozżarzoną cygarem w pysku i muchą w kolorze lilaróż. Cóż, noblesse oblige. Vis-à-vis kocura pół siedzi, pół leży współprytomny scherlały gnom – z wyglądu wypisz wymaluj Faust, pseudoabsolwent krakowskiego Hogwartu. Sącząc becherovkę, grają w stukulkę o wykradzoną ze Skarbca statuetkę Oscara. Popiersia mędrców niby zmierzchnice zrywają się z hurkotem ku górze, jakby miały zatańczyć jive’a. Kustosz, przerażony, pędzi do Stuby Communis. Tam jest dopiero armagedon. Zegar zamiast hejnału mariackiego i Mazurka Dąbrowskiego wygrywa na przemian hity disco polo: „Mydełko Fa” i znane z covera Shazzy „Baiao Bongo”. U stóp zwykle lśniących, a teraz współspróchniałych schodów upstrzonych rozetami orzastu zhardziali halabardnicy na stosie rozprutych profesorskich tóg okładają się drzewcami, aż szepiąją się im haki wieńczące włócznie. Tego już za wiele! Kustosz wpada do Sali Zielonej. Zamiast Hamleta na obrazie Eugène’a Delacroix dostrzega Harry’ego Pottera. Strzaskany fortepian niczym szczeżują szczyrzy szerniałe klawisze. W krążgankach niby-wirydarza maskaron wypluwa do lawaterza kłębiące się murzyłki, zmróżki i ziemiórki. Ohydztwo! Z Huty zwanej dziś Zaułkiem Estreichera dochodzą pohukiwania puchacza lub pójdzki. Z piersi kustosza dobywa się krzyk, ktoś chwyta go za ramię.

Czy to była jawa, czy li tylko senna mrzonka? Przekonajcie się sami.